

Nr. 6. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **15. Marca.**

Józef Maksymiljan Ossoliński.

Józef Maksymiljan hr. Ossoliński pochodził z rodziny wielce zasłużonej w ojczyźnie; ojcem jego był Michał hr. na Tęczynie Ossoliński, matką Anna z Szaniawskich. Urodził się we wsi Wola Mielecka, położonej w dawnem województwie Sandomierskiem, a mianowicie w tej jego części, która teraz należy do obwodu Tarnowskiego. Dzień i rok jego urodzenia nie są dokładnie wiadome, ale to pewna że chrzcił się dnia 8 czerwca 1754 i bez wątpienia musiał już wten-

czas liczyć lat kilka. Wcześnie okazywał zamiłowanie do nauk, to też zaledwie podrósł, rodzice oddali go do konwiktu OO. Jezuitów w Warszawie, gdzie pod kierunkiem sławnego naszego historyka Adama Naruszewicza rozwinęły się znamienite zdolności wiele obiecującego młodzieńca. Ukończywszy nauki wrócił do wsi ojczystej, a zamiłowany w zaciszu domowem, oddał się wyłącznie pracy umysłowej i znaczny przeciąg czasu strawił na zgłębianiu autorów starożytnych i dzieł uczonych z późniejszych wieków. W tym czasie dał się poznać uczonemu światu przez przekład dzieła Enneasza Seneki O pocieszeniu.

Po śmierci cesarza Józefa II. Ossoliński wybrany został na członka deputacji wybierającej się do Wiednia dla przedłożenia nowemu cesarzowi Leopoldowi II. i popierania życzeń i potrzeb kraju. Jako prawy i ojczyznę miłujący obywatel chętnie podjął się poselstwa i porzuciwszy zacisze domowe, wybrał się z deputacją do Wiednia. Gorliwe jego zabiegi o dobro kraju, a mianowicie o wychowanie młodzieży w zakładach publicznych, pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały. Za jego to staraniem powstała w Wiedniu fundacja dla kilkudziesięciu młodzieńców rodem z Galicji, mających chęć doskonalenia się w naukach.

Aby stać się jeszcze więcej użytecznym ojczyźnie, już przez czuwanie nad młodzieżą pobierającą nauki w Wiedniu, już jako reprezentant kraju, a zarazem aby mieć szersze pole do zaspokojenia swojej skłonności do nauk, zamieszkał stale w Wiedniu. Uprzejmy, gościnny, szlachetny, uczynił dóm swój przystępnym dla każdego; cisnęli się do niego uczeni i chciwi nauk, rodacy i cudzoziemcy i dom ten stał się wkrótce przybytkiem muz. Ossoliński wspierał i zachęcał do nauk młodzież odznaczającą się zdolnościami, przypuszczał do swego towarzystwa i lubił obcować z takimi, co wprawdzie jeszcze nie wiele umieli, ale pracę umysłową uważali jako najmilsze zajęcie i śmiałym krokiem dążyli do celu. O ile drugich zachęcał do pracy, o tyle sam w niej nie ustawał. Zawdzięczamy mu znakomite dzieło pod tytułem: Wiado-

mości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej w trzech tomach; oprócz tego przygotował do druku wiele drogocennych rękopisów, które czynią razem około trzydzieści tomów.

Jeszcze w roku 1774 powziął myśl założenia bibljoteki publicznej, zaczął zbierać księgi a mianowicie dzieła odnoszące się do historji i literatury słowiańskiej, a w szczególności polskiej. Za bibljotekarza przybrał uczonego Samuela Bogumiła Lindego, nim tenże został rektorem liceum warszawskiego. Linde wspierany przez Ossolińskiego, tak we względzie literackim, jak materjalnym, przywiódł do skutku olbrzymie dzieło: Słownik porównawczy djalektów polsko-słowiańskich.

Cesarz Franciszek I. mianował Ossolińskiego w r. 1809 oceniając wysoką jego naukę, protektorem bibljoteki nadwornej; rozmaite krajowe i zagraniczne stowarzyszenia naukowe ubiegały się aby go mieć swoim członkiem, jako to: Towarzystwo rolnicze w Wiedniu, towarzystwo morawsko-szląskie udoskonalenia rolnictwa, nauk przyrodzonych i jeografii, towarzystwo umiejętności w Pradze i ojczystę muzeum czeskie, akademia sztuk pięknych w Wiedniu, towarzystwa uczonych w Getyndze, Warszawie, Wilnie, Krakowie, a uniwersytet lwowski udzielił mu stopień doktora filozofji.

Tymczasem bibljoteka skrzętnie zbierana przez Ossolińskiego coraz się bardziej wzbogacała. Szlachetny ten mąż znaczniejszą część swoich dochodów przeznaczał na jej pomnażanie. Pierwiastkowo miał on wspólnie z ordynatem hr. Stanisławem Zamojskim otworzyć narodowy zakład oświecenia w Zamościu, ale przeszkodziły temu wypadki wojenne w r. 1809, a następnie zmiana granic Galicji. Postanowił więc Ossoliński przenieść bibljotekę swoją do Lwowa i tu oddać ją na użytek publiczny, co też istotnie przywiódł później do skutku.

Na kilka lat przed zgonem Ossoliński ociemniał, ale i ten cios okropny nie zdołał wstrzymać go od nieustannej

pracy umysłowej. Prawie do ostatniej chwili życia zajmował się przekładaniem dzieł Liwiusza.

Umarł dnia 17 marca 1826 r. powszechnie w całym kraju żałowany.

Dnia 19 marca nastąpiła eksportacja zwłok z domu zmarłego na przedmieściu Wiednia przy ulicy Majerhof, do kościoła ŚŚ. Aniołów Stróżów. Wszyscy Polacy znajdujący się w Wiedniu, zgromadzili się na ten smutny obrzęd. Orszak ruszył o godzinie 6 wieczorem. Najprzód postępowało duchowieństwo, a trumnę całunami okrytą nieśli na swoich barkach ziomkowie. Po nabożeństwie w kościele ŚŚ Aniołów Stróżów złożono trumnę w kaplicy na cmentarzu, a nazajutrz nastąpił pogrzeb. Obrzędowi temu przewodniczył prałat kapituły Lwowskiej obrządku grecko-katolickiego baron Neustern przyjaciel zmarłego. Ziomkowie własnemi rękami spuścili trumnę do grobu, skropiwszy ją łzami wdzięczności.

W następnych latach wydano ryty na miedzi portret Ossolińskiego z napisem: Założycielowi publ. bibljoteki we Lwowie, rodacy. 1822.

ZIMA.

— Czy to prawda, ciociu miła,
Co mi Andzia dziś mówiła
Że te śniegi, co tak prószą,
Nie stopią się, nie poruszą?

Że te mrozy i te lody
Już na zawsze ścięły wody?
Że w ogródku na mej grzędzie
Nigdy kwiatków już nie będzie?

— Zosiu! Andzia żartowała,
Czy uwierzysz doświadczała —
Lody silne, szkliste prysną;
Źródła, zdroje czyste trysną,
Co zasiane to powschodzi,
Łąk zieloność się odrodzi.

Wiedz że drzew suche gałązki
Mieszczą sok, listków zawiązki;
A kwiateczków na twej grzędzie,
Wiele barwnych, wonnych będzie!

Ziemia pod puchem śnieżystym
Spi, ale nie snem wieczystym;
A wiosny ożywcze tchnienie
Da jej błogie przebudzenie;
Gdy błyśnie wiosny zaranie
Wtedy wszystko zmartwychwstanie!

R. z F. S.

Mali żołnierze.

I.

Gustawek był synem bogatych rodziców, którzy posiadali obszerną włość w jednej z najpiękniejszych okolic naszego kraju. Gustawek był chłopczykiem pilnym i przykładnym, toż ojciec i nauczyciel pozwalali mu chętnie oddawać się po pracy rozmaitym zabawom. Ale Gustawek nie miał ani braciszków ani siostrzyczek i musiał się wśród zabawy ograniczać na samym sobie. Najmilszą zabawą dla Gustawka była gra w żołnierza. Wtedy to zasadzał na głowę kapelusz z papieru, wsiadał na drewnianego konika i wywijał blaszaną szabelką. Tak bujając po podwórzu i ogrodzie wołał donośnym głosem:

— Marsz! Naprzód! Nabijaj broń! Tuj! Cel! Pal!

Ale komendy małego Gustawa nie słuchał nikt, bo nie miał towarzysów w swych igraszkach. Razu jednego podsłuchał go ojciec, który za młodych lat służył jako kapitan w wojsku polskiem i zapytał:

— Co ty wyrabiasz Gustawku?

— Bawię się w żołnierza! odpowiedział malec.

— Niezła gra dla chłopców — rzekł ojciec — bo jest niejako przygotowaniem do przyszłych kolei życia... I ja będąc takiem chłopięciem jak ty Gustawku, lubiałem przedewszystkiem zabawę wojskową... Gdym dorósł lat młodzieńczych zamieniłem laskę w konia, szabelkę blaszaną w pałasz stalowy i pobiegłem na pole bitwy by walczyć za wolność ojczyzny... Ale powiedz no mi Gustawku, jaki sobie stopień przypisujesz w tej zabawie?

— Jestem jenerałem.

— A widziałżeś ty kiedy jenerała bez wojska? zapytał dalej ojciec.

Zmięszał się Gustawek i odpowiedział:

— Nie — Ale coż, kiedy bo nie mam z kim się bawić.

— Dobremu jenerałowi nie braknie nigdy na żołnierzach. We wsi mnóstwo jest chłopaczków, możeby z nich wysztyftować sobie pułk. Czy nie słyszałeś o dzielnych kmiotkach co walczyli pod Tadeuszem Kościuszką, czyś zapomniał że owe kosynjery, co rzucali postrach na wroga, z pod strzech słomianych pochodzili? Pan nauczyciel opowiadał ci przecież o rzemieślniczku Wąsiku, co za króla Batorego zjednał sobie swą walecznością pod murami moskiewskiej twierdzy herb szlachecki i stopień rotmistrza, o Michałku, co będąc prostym chłopkiem dowodził za Jana Kazimierza osobnym oddziałem i był postrachem szwedzkich żołnierzy, o Szczygle krawczyku, co odznaczył się świetnie dzielnością podczas konfederacji barskiej, o Bartoszu Głowackim nareszcie, o którym nau-

czyłem cię takiej pięknej spiewki, opisującej jego czyny świetne w boju za ojczyznę?... Gustawku! potrzeba kochać swych ubogich braci! Gdy dorośniesz w męża, gdy dziecinne swawole i igraszki zmienisz na czyny prawdziwe, wtenczas nieraz spotkasz się w jednym szeregu z chłopkiem, nieraz przyjdzie ci stanąć ramię w ramię z wieśniakiem i iść z nim w bój za dobro ojczyzny!

Gustawek wziął sobie do serca te słowa ojca i zaraz na drugi dzień prosił nauczyciela aby z nim poszedł na wieś po chłopaczków. Już naprzód radował się Gustawek z swoich przyszłych towarzyszy, lecz radość ta zmieniła się w prawdziwe zachwycenie, gdy się ujrzał otoczony gromadką rumianych, czerstwych chłopiąt, które najochotniej przystały na jego propozycję.

Pan nauczyciel porozumiał się z rodzicami chłopczyków, a gdy ci przystali na jego żądanie, nie posiadał się Gustawek z radości. Wyznaczono sobie każdą niedzielę i święto na musztry i rewje, a kiedy pierwsza nadeszła niedziela, przybyli do dworu mali rekruci. Byli to chłopcy uprzejmi i weseli, ubrani w czyste koszulki i kapeluszyki słomiane z wstążeczkami. Z początku nieufnie spoglądali na panicza i widocznie mięszali się w jego towarzystwie, lecz niebawem zaprzyjaźnili się z nim serdecznie.

Poczęli tedy organizować się w oddział zbrojny. U rodziców Gustawka służył stary furman, który dawniej z swym panem razem służył w wojsku, ten już poprzednio wyuczył Gustawka musztry, tak że młody oficer mógł śmiało udzielać tej nauki swym nowo zaciężnym żołnierzom.

Jakoż Gustawek spamiętał sobie zaraz imiona swoich żołnierzy i już każdego odtąd wołał po chrzestnem imieniu. Najpierw ustawił Gustawek swe wojsko w szereg i uporządkował za radą starego furmana podług wzrostu:

— Ty Wasylku — mówił Gustawek — jesteś najwyższym i najstarszym, mianuję cię więc kapralem i jako taki

stać będziesz na skrzydle — po Wasylku Antoś, po Antosiu Grześ i tak dalej.

Gdy małe wojsko ustawiło się w szereg równy, począł je Gustawek uczyć robienia bronią. Lecz tu okazał sie kłopot nie mały. Gustawek jako oficer posiadał szablę, lecz żołnierze jego nie mieli broni. Lecz stary furman znalazł na to rychło sposób. Powycinał chłopcom kije i te służyły im za karabiny.

Nauka robienia bronią postępowała szybko. Chłopcy byli pojętni i uważali pilnie na słowa swego małego oficera i niebawem można było zabrać się do musztry.

Wtedy to dopiero komenderował Gustawek głosem donośnym i pełnym ukontentowania:



— Na ramię broń! Do nogi broń! Prezentuj broń! Baczność! Równaj się! W lewo zwrot! Do ataku broń! Od szeregu równaj się — marsz! Stój!

Pojętni żołnierze coraz więcej nabywali wprawy, a radość Gustawka wzrastała coraz bardziej. Gdy pierwsza musztra się skończyła Gustawek pobiegł z uniesieniem do ojca i ucałowawszy go w rękę, podziękował mu za dobrą radę.

— Nie dosyć jeszcze na tem Gustawku — rzekł ojciec — żeś uczynił tych biednych chłopczyków towarzyszami zabaw swoich, lecz trzeba abyś ich wziął także za uczestników nauki. Mówiłem z panem nauczycielem, a ten chętnie zezwolił na to abyś razem z twoimi żołnierzami odbywał także godziny nauki.

Gustawek ucieszył się tem jeszcze bardziej, a chłopcy wiejscy garnęli się z ochotą do nauki. Gustawek uważał ich za swych kolegów i przyjaciół i nie dał im nigdy powodu do skargi najmniejszej, lecz owszem pokochał ich jak braciszków, za co mu się chłopcy odwdzięczali również serdecznem przywiązaniem.

Po nauce następowała zazwyczaj musztra. Aby zachować porządek i karność między swoimi żołnierzami i przywłaszczyć im wszelkie przymioty dobrze utrzymywanego wojska, wyznaczył Gustawek ściśle stopnie każdemu. Grzesia, który był najmniejszym ze wszystkich, uczynił doboszem, a stary furman nauczył go sygnałów, Antoś został wicekapralem, a Wasylko pełnił obowiązki dyżurnego i był najczęściej przy boku oficera, aby jego rozkazy w potrzebie roznosić wojsku.

Kiedy okazała się potrzeba aby żołnierze zgromadzili się do apelu, wydawał Gustawek jako oficer Wasylkowi, jako dyżurnemu kapralowi, rozkaz, a ten rozkazywał znowu Grzesiowi uderzyć w bęben na alarm.

Grześ począł wtedy bębnić co sił stało, a żołnierze zbiegali się na oznaczone miejsce zboru, to jest na małą łączkę, co leżała tuż obok dworu. Wtedy oznajmiał Gustawek wojsku że grozi wielkie niebezpieczeństwo, bo nieprzyjaciel zamyśla uczynić napad, rozstawiał straże, wysyłał patrole, czynił rekonesanse, wykonywał szturmy i ataki i t. d.

Przedewszystkiem zaś uważano na karność. Każdy musiał wykonywać ściśle rozkazy przełożonego — raz nawet kapral Wasylko mało nie został zdegradowanym za to że zdybawszy na granicy jakąś kozę, która nie była w stanie dać

hasła a więc widocznie należała do nieprzyjacielskiego obozu, nie aresztował jej natychmiast i nie odstawił jej przed komendanta.

Aby sądzić podług prawa winnych, wybrano starego furmana audytorem, to jest sędzią, który badał przewinę każdego żołnierza i wymierzał karę. Kara zaś zasadzała się głównie na ostrej naganie przed frontem, a w najgorszym razie na 10 minutach aresztu. Areszt urządzono w starej ogromnej karecie. Jeżeli który z żołnierzy dopuścił się jakiegoś przekroczenia, odbierał mu kapral broń i stawił go pod strażą do raportu przed Gustawka. Ten odsyłał go do audytora, a ten osądzał go podług winy na areszt. Wtenczas zaprowadzono winnego do aresztu, to jest wsadzono go do starej karety, zamykano drzwi i stawiano żołnierza na straży.

Mimo tej zabawki nie ustawała nauka. Chłopcy uczyli się razem z Gustawkiem, a im kto był pilniejszy w szkole, tem zaszczytniejsze zabierał stanowisko w szeregu.

Tak minął spory przeciąg czasu wśród zabawy i nauki i zbliżała się pora egzaminów. Chłopcy mieli razem z Gustawkiem składać popisy z nauk, a po popisach miała nastąpić wielka musztra czyli przegląd armji. Lecz o tem wszystkiem opowiem wam moi czytelnicy w przyszłym numerze Przyjaciela Dzieci. (D. n.)

BITWA POD OBERTYNEM.

Było to za panowania sławnej pamięci króla Zygmunta I. zwanego Starym, roku pańskiego 1530, Hospodar wołoski Petryło, stęskniwszy sobie w pokoju, zebrał wielkie wojsko, i nie znajdując oporu, nuż plądrować po Polsce, nuż zamki dobywać i swymi ludźmi osadzać. Zdrajca Wołoszyn nie pierwszy to raz dopuszcza się takiego zuchwalstwa, nie pierwszy raz ziemię polską pustoszy, krew polską przelewa, skarby polskie uwozi, ale też jeszcze nigdy nie odebrał takiej

kary, jak tym razem, jeszcze nigdy nie został tak upokorzony jak w tej sławnej bitwie pod Obertynem, która zaiste należy do najświetniejszych wspomnień w dziejach narodu polskiego.

Na odparcie Wołochów wyprawił król tylko cztery tysiące wojska polskiego, jazdy i piechoty. Tylko cztery tysiące, bo na prędce nie można było większych sił zgromadzić. Nieliczna to garstka naprzeciw ogromnych zastępów nieprzyjacielskich, ale tą garstką dowodził Jan Tarnowski hetman wielki koronny, którego zdolności wojskowe, męstwo i powaga więcej znaczyły jak liczba wojska. Więc kraj nie lękał się o los tych czterech tysięcy młodzieży, idących zasłonić piersiami ojczyznę i ukarać zuchwałego napastnika, i z ufnością w sprawiedliwość Boską i świętość sprawy, spokojnie oczekiwał wypadku wojny.

Jan Tarnowski wszedłszy z wojskiem na Pokucie, pobił Wołochów w kilku miejscach, ale ich od razu nie wyparł za granicę, bo się rozdzielili na kilka hufców, i z każdym z osobna trzeba się było potykać; do tego nieprzyjaciel dostawał ciągle świeże posiłki, i nie łatwo wypuszczał z rąk, co mu raz w nie popadło. — Po kilkunastu drobniejszych potyczkach odzyskali Polacy wszystkie zamki przez Wołochów zdobyte, i wzmonnili je na nowo. Aż tu niebawem nadciąga znowu 6000 jazdy wołoskiej. Już sam ten świeży korpus znacznie przenosił liczbą wszystkie siły Tarnowskiego razem wzięte; mimo tego jednak wódz doświadczony ducha nie stracił, bo wiedział że nie liczba zwycięża, ale męstwo. Rycer-two jego mając ufność w hetmanie, ani na chwilę nie zachwiało się w odwadze. Przyszło do bitwy pod zamkiem Gostkiem. Polacy rozprószyli Wołochów, zamek wzięli i osadzili swymi.

Ale Wołoszyn choć dziesięćkroć pobity, nie traci odwagi, z kraju nie ustępuje, owszem chce jeszcze raz próbować szczęścia.

Sam Hospodar Petryło na czele 22.000 ludzi rozłożył się obozem pod miasteczkiem Obertynem, nie daleko obozu polskiego i nuż okalać garstkę Tarnowskiego. Był prawie pe-

wny zwycięstwa, dumny wiarołomca, i o to mu tylko chodziło aby się Polacy nie wymknęli.

Pięciu Wołochów było na jednego Polaka. Spotkanie się z tak licznym i do tego dobrze uzbrojonym nieprzyjacielem zdawało się wielce niebezpiecznem. Nawet najodważniejszych męstwo zaczęło opuszczać; starszyzna schodzi się pod namiot hetmana, i wystawiwszy mu na co się chce narażać, podaje radę aby działa zostawić i nie czekając bitwy uchodzić do Halicza.

Usłyszawszy to Tarnowski zachmurzył czoło; krew mu w żyłach zakipiała, bo on się jeszcze nigdy tchórzostwem nie splamił, i nie polska to rzecz uciekać z pola bitwy. Ze wzgardą odrzucił radę i rzekł starszyźnie stanowczo:

— Tu nam albo umrzeć albo zwyciężyć!

Jakoż niebawem wydał rozkazy aby się gotowano do bitwy, a naprzód według prawideł sztuki wojennej kazał uporządkować obóz i sypać okopy. Sam doglądał ścisłego dopełnienia rozkazów, kierował wszystkiem i zachęcał pracujących do pospiechu. Widząc niezachwianą stałość i odwagę wodza, rycerstwo polskie nabrało serca. Robota idzie spieszno—ot już i obóz w porządku i okopy gotowe. Tarnowski kazał wozy pospinać łańcuchami i za niemi ustawił strzelców, a rycerstwo i kozakow jak należało rozłożył w szyku bojowym. Dosiadłszy potem konia, objeżdżał szeregi i zagrzewając je własnem męstwem obiecał zwycięstwo.

Dnia 22. sierpnia Wołoszyn z dzikim krzykiem przypuścił szturm do obozu polskiego. Z ręcznej broni i dział nieprzyjacielskich padło na raz tyle strzałów, iż huk okropny rozległ się daleko po okolicy. Hospodar Petryło myślał że w tym pierwszym ataku zniesie od razu cały obóz polski, ale kule nieprzyjacielskie mało szkodziły naszym. Strzelcy polscy, zasłonięci wozami niby murem fortecznym, odpowiedzieli na ogień mniej licznemi, ale za to celniejszemi strzałami. Wołosza ponawia atak, brzmią okrzyki nanowo, grają działa,

rozlega się huk ręcznej broni, Petryło sroży się i wysela świeże oddziały wojska do szturmu, ale to wszystko nic nie pomaga. Polacy stoją w miejscu jak wryci i nie myślą ustąpić. Tarnowski ożywia wszystkich, wszystkim dodaje ducha, wszystkich zagrzewa do męstwa. O! już teraz ci nawet, co nie dawno z przestrachu i zbytecznej ostrożności doradzali odwrót, wstydzą się swojej rady i chcąc odzyskać u hetmana dobre rozumienie, stają w pierwszym szeregu. Z umocnionego obozu, z za okopów i wozów piechota i rycerstwo polskie zrządza wielkie spustoszenia w szeregach nieprzyjacielskich. Darmo się sroży, darmo grozi Petryło, siła i groźby nic nie znaczą tam, gdzie prawdziwe poświęcenie i prawdziwa miłość ojczyzny broni świętej sprawy. Gdy nadeszła stosowna chwila, hetman daje znak swoim, jazda z nienacka wypada z za okopów, rzuca się na nieprzyjaciela i rąbiąc szablami, w jednej chwili odpiera przelęknionego Wołoszyna. Wszczyna się bitwa stanowcza. Zwiera się hufiec z hufcem, szereg z szeregiem, mąż z mężem; wiara polska idzie na przebój i zwycięską szablą toruje sobie drogę wśród niezliczonych zastępów nieprzyjacielskich. Słychać z jednej strony okrzyki: Jezus Marja! Boże dopomóż! Za wiarę i ojczyznę! z drugiej niezrozumiałe pomięszane głosy wylękłej tłuszczy. Wołosi nie mogąc wytrzymać natarczywego uderzenia garstki Polaków, chwiać się zaczęli i niebawem pierzchli w popłochu.

Przeszło tysiąc jeńców, pięćdziesiąt chorągwi i tyleż dział częścią wołoskich, częścią naszych na Bukowinie jeszcze za króla Olbrachta utraconych, dostało się w ręce zwycięsców. Nieprzyjaciel z pospiechem wracał do swoich siedlisk.

Wkrótce potem dzwon Zygmunt w Krakowie uroczyście ogłosił Polsce to świetne zwycięstwo, którego pamiątkę w długie lata obchodzono rokrocznie w całej Polsce z największą uroczystością.

KOŃ.

(Ciąg dalszy.)

Konie berberyjskie są prześliczne, roślejsze od czysto arabskich, rącze, wytrzymałe na trudy, głód i pragnienie. Konie te posiadają szacowny jeszcze przymiot, że zdolne są do odbywania podróży w górach, a to nawet w takich miejscach gdzieby żaden europejski koń, prócz naszego hucułka, dziesięć kroków ujść nie zdołał. Nasi rodacy, służący w legii zagranicznej w Algierze, nie mogą się dosyć nachwalić tych pysznych i dzielnych koni. Pomiędzy innemi przytoczymy tu w krótkości opowiadanie pewnego oficera Polaka, służącego w strzelcach konnych afrykańskich:

„Obozowaliśmy pewnego razu, mówi on, w przepysznej dolinie, gdzie mirty, aloesy i inne drzewa, gorącemu klimatowi właściwe, bujno na około nas rosły. Noc była piękna, przepyszna, jaką tylko można widzieć w południowych krajach, która po dniu ogromnie skwarnym zwykle następuje. Wraz z legją cudzoziemską obozowały tutaj i inne jeszcze oddziały francuskiego wojska, a między temi spahi i strzelcy afrykańskie. Strzelcy te składają się z kawalerzystów wyćwiczonych i wytrwałych, gdyż rekrutują się zwykle z francuskich żołnierzy już wysłużonych, a przytem z ochotników z legji cudzoziemskiej. To też strzelcy ci należą do najwyborniejszej jazdy w świecie, w której służą po największej części Francuzi, Polacy, Niemcy, Węgrzy, a jak dawniej to Włosi jeszcze. Konie tej wyborowej jazdy są wszystkie pochodzenia sacharyjskiego i dla tej jazdy są one rzeczywiście najprzydatniejszemi. Konie te są dobrze utrzymane, zawsze wyczyszczone i nakarmione, gdyż regulamin wojskowy jest tu ścisły, a przytem starzy żołnierze pamiętają o swoich koniach często lepiej jak o samych sobie. W długich szeregach stały te konie dzisiejszego wieczora, przywiązane do porozpinanych lin po za ogniami biwakowemi, przy których spo-

czywali ich jeżdzcy. Rżenie, grzebanie nogami i wzajemne kąsania dawały się często słyszeć i straż postawiona przy koniach wiele miała do czynienia, aby je ciągle w dobrym porządku utrzymać. Z gromadek siedzących pod ogniskami jeżdzców, brzmiały rozmaite piosnki, gdyż francuscy żołnierze zawsze spiewają przy biwakowym ogniu. Polacy, wszyscy już długo służący w Algierze, wytrawne wiarusy do boju i trudów wojennych, zgromadzili się u jednego ogniska i poczęli spiewać po polsku swoje smętne narodowe melodje, co z dziwnym kontrastem odbijało od wesołych i lekkich piosnek francuskich. Stary z siwemi wąsami brygadjer, przedstawiający malowniczy typ wojskowy, przewodził spiewom w kole polskim!

Postacie tych wszystkich żołnierzy przy palących się ogniskach pysznie wyglądały, i ta mieszanina rozmaitych mundurów, ta gra światła i cienia, przy buchającym płomieniu, wraz z temi spiewami, odgłosami pikiet, krążeniem patroli, rżeniem koni, przy nocy tak pięknej, sprawiały uroczy, zachwycający widok, głęboko wrażający się duszy tych, którzy go choć raz mieli sposobność widzenia.

Było już zapewne około godziny dziesiątej, kiedy przybył rozkaz od jenerała brygady, aby około północy część wojska tu zgromadzonego wyruszyła w pomoc innemu oddziałowi, który z rana z nienacka miał napaść na nieprzyjacielski duar (wieś arabska z namiotów). Kiedy więc dowódzcy udzielili rozkaz swym podkomendnym oficerom, a ci żołnierzom, nowe życie wstąpiło w te stare dzieci bitw, teraz tak spokojnie siedzące u ognisk, gdzie spiew i fajka, wraz z tą swobodną a przyjemną pogadanką, tylko u ognia biwaków się napotykającą, stanowiły ich rozrywkę.

— Do broni! do broni! zabrzmiały odgłosy oficerów i cały obóz stanął na nogach. Co za skutek orzeżwiający wywarły te słowa na żołnierzy!! Wszyscy spiesznie poczęli szykować się do drogi, i niebawem też jazda i piechota z ambu-

lansami i wszelkiemi potrzebnemi przyborami, była gotowa zupełnie.

Co za drogę przebyliśmy tej nocy, dosyć zimnej do odbywania wyprawy wśród gór, trudno jest wypowiedzieć, gdyż jechaliśmy parowami pełnemi rumowiska, krzaków i rozmaitych zawad. Już się dobrze rozwidniło kiedyśmy przybyli na miejsce przeznaczenia i zajęli wyznaczone nam pozycje.

Ze wschodem słońca miał nastąpić atak ze wszystkich stron na nieprzyjaciela.

Kiedy więc słońce weszło i oświeciło całą okolicę, będącą dotąd w cieniu, spostrzegliśmy przed sobą arabski duar a około niego mięszaninę jazdy i piechoty, i zaraz też strzały nastąpiły.

Około parę tysięcy jeźdzców arabskich wysypało się teraz z bronią w ręku i jak się zdawało, bez silnego oporu nie mieli ochoty opuścić swego koczowiska. Przyjęci jednak ogniem ze wszech stron, do których się zbliżali, gdyż otoczyliśmy ich zupełnie, rozdzielili się na kilka oddziałów, chcąc się łatwiej wydobyć z nastawionej na nich matni. Jeden taki oddział nieprzyjacielski, mający trzysta do czterystu ludzi, rzucił się w kierunku prostym.

— Otoż i Beduini! zawołali wesoło nasi strzelcy i w mgnieniu oka byli gotowi do przyjęcia nacierających.

(Dokończenie nastąpi).

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1864.